POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 29 LISTOPADA 1930 ROKU NR. 48

ANDRZEJ STRUG

41)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Od pół roku obserwowałem tę robotę i miałem u nich gdzieniegdzie swoich ludzi, którzy wpychali im ważne dokumenty i informacje z najlepszego źródła, bo ze specjalnego biura Sztabu marynarki. To biuro pracowało wyłącznie tylko dla nich, fabrykując tajne akty i dokumenty wedle najściślejszych wzorów służbowych. Raporty komendantów łodzi podwodnych, wykazy założonych min, ewidencja obstalunków, plany nowych motorów i urządzeń, statystyki strat, instrukcje... Poszło tego dużo w ruch. Płacili od sztuki, kosztowało to rząd brytyjski około pięciu miljonów marek, co jest drobnostką, ale niejeden ich torpedowiec czy krążownik wyleciał w powietrze, płynąc wedle naszych map. Dziesiątki statków pomocniczych czyhają na nasze łodzie podwodne tam, gdzie ich niema, a tymczasem... Zabawne historje...

— Na miły Bóg, niechże pan ich nie spłoszy! Zrujnuje pan tak wygodną organizację!

— Miałem po temu swoje powody. Ale nie ruszyłem ani tknąłem ich biura łączności z wywiadem francuskim, bo koalicja nie ma u nas jednej centrali, jak nie ma jednolitego dowództwa na froncie. I przez to biuro dotrę nareszcie do francuzów, których osaczam napróżno od dwuch lat. Wpadają od czasu do czasu podrzędni agenci, którzy sami mało wiedzą i żadne najwymyślniejsze metody badania niewiele z nich wycisną. Cała satysfakcja, że się którego powiesi — i tyle. Ale teraz — ohoho!...

Dyrektor van Trothen usiłował odezwać się, bąknąć parę słów uznania, żadną miarą nie można było teraz milczeć. Ale kurcz zwarł mu szczęki, przenikliwe zimno sączyło się po krzyżu. Więc mruknął coś pod nosem, udając, że go pochłonęła gra. Wpatrywał się uporczywie w szachownicę. Pierwszy ruszył z miejsca jego czarny koń i zaczął się wałęsać po szachownicy. Potem wszystkie naraz figury generała posunęły się naprzód o jedno pole wprost, nawet laufry. Chciał ująć i poskromić konia, ale prawa ręka zacisnęła mu się kurczowo w pięść i żadną miarą nie mógł jej rozprostować. Lewa ścierpła w dłoni i palce straciły czucie. Całą swoją istotą wyczuwał na sobie ciężkie spojrzenie generała. Niepodobna było zwlekać ani o sekundę dłużej. Dźwignął głowę, roześmiał się i spojrzał wesoło w twarz partnera.

— Ciekawa kombinacja — co?

— Bardzo ciekawa. Wydaje mi się, że teraz nic nie zdoła uratować pana od mata.

— No — nie zaraz, panie generale!

— Nie mówię, że zaraz, ale to już wszystko jedno.

— Będę się bronić.

— Nic to panu nie pomoże.

— Kto wie. Tymczasem może pan zrobić jakiś gruby błąd... Może go pan nawet już zrobił...

— Gdzie? W czem?

— Proszę dobrze patrzeć. Jakże ja mogę ostrzegać przeciwnika?

W tej chwili, jak na zamówienie, z drugiego pokoju zabrzęczał telefon. Van Trothen pomimo najwyższego natężenia nie mógł dosłyszeć słów, ale z intonacji, z barwy głosu generała, poznał już po paru chwilach, że mówi on z kobietą. Z początku był oschły, potem zaczął się skarżyć. Wreszcie, usłyszawszy coś miłego, rozpłynął się w rozczuleniu, głos uczynił się miodowy, modlitewnie-błagalny, uwielbiający. Nie do wiary zdawało się młodzieńcze gruchanie w ustach złowrogiego generała, człowieka o nadzwyczajnych pełnomocnictwach, który czuwał nad bezpieczeństwem armji i państwa od tajnych zamachów wroga. Była to przesłodka pieśń bez słów, nieopanowana, chwilami jakby łkająca — wysoce zabawna. Z jej niewyraźnej melodji, przebijającej się przez aksamitną kotarę, dyrektor van Trothen wyczytał to, czego żadną miarą nie mógł się dowiedzieć od samej Evy — generał von Sittenfeld nie dostąpił jeszcze szczęścia. Dla osiągnięcia tej łaski gotów był na wszystko i znać było, że nie może już wytrzymać. Czy Eva nie przeciąga zbytnio struny?

...Biuro łączności anglików z wywiadem francuskim... Niema takiego biura. Ale jest pewien człowiek dość podejrzany (K. O. 7), który od wczoraj mógł się wsypać. Nie zna on bezpośrednio dyrektora, ale ma z nim łączność przez niejaką panią Emmich, bardzo zręczną agentkę (D. D 19), która zdradzona, może uledz terorowi siepaczów Sittenfelda. Trzeba ją, nie tracąc chwili, wyprawić z Berlina z nowym dowodem osobistym. Jeżeli zaś o tej godzinie i ona jest ujęta... Nie, tego się nie robi tak szybko, jeżeli K. O. 7 ją wsypał, to poprostu puszczą za nią obserwatorów, żeby ich zaprowadziła wyżej. A jeżeli im bardzo pilno? Jeżeli im pilno, to wsypią jej na poczekaniu dwadzieścia pięć prętów gumowych, a jak będzie trzeba, dołożą jeszcze pięćdziesiąt — tego wystarczy na każdego. Na szczęście, jest chora na serce, ona nie wytrzyma i dwudziestu pięciu, zatknie ją, zanim zdoła krzyknąć, że wszystko powie. Tak właśnie byłoby najlepiej... Ale jak jest naprawdę? Narazie prawdą było, że generał dziś telefonował doń parokrotnie, natarczywie zapraszając na dziś na szachy. Chciał go tu mieć, żeby opowiedzieć o wsypie anglików i zajrzeć mu oczy. Albo go stąd już nie puści, albo...

Dyrektor dotknął górnej kieszonki od kamizelki. W tej chwili najbardziej pożałował, że nie zobaczy końca wojny. Nagle uderzyło go pytanie, po co on poszedł na tę drogę i po co dręczył swe nerwy w ciągu trzech lat? Co go obchodzi Francja? Czy mu tak dalece były potrzebne pieniądze? Zupełnie mu nie są potrzebne, miał dosyć własnych. Więc po co?! Po co?! Śpieszył się, żeby to odgadnąć, bo za chwilę może być zapóźno. Połknie swoje cjankali i pójdzie precz, jak głupi, nic o sobie nie wiedząc. Zdumiał się. Dlaczegoż ani razu nie przyszło mu do głowy pomyśleć o tem?! Miał na to trzy lata czasu. Czyżby absurdem i niczem więcej nie były jego wielkie afery, jego niesłychane sztuki i sztuczki, jego świństwa, jego zbrodnie?

Jak w migotaniach błyskawicy objawiały się i gasły po kolei wydarzenia, miasta, ludzie, przypadki, tryumfy, zasadzki, niepowodzenia, okropności, upodlenie ludzkie, trupy ludzkie, strach — dzieje trzech lat. Strachu zaznał do syta, nosił go w sobie wiecznie, o każdej chwili, na jawie i we śnie wisiał na cienkiej nici przez cały ten czas. Niepewna była każda jego godzina, darowany każdy dzień.

A teraz był jak wyzwolony, nie czuł żadnego strachu.

Ogarnęła go namiętna ciekawość tego, co się już zaczynało wypełniać. Wszak na tę chwilę czekał od tak dawna, po to igrał ze śmiercią i pchał ludzi na śmierć od trzech lat. Ujrzał teraz, że całe jego życie bujne i napozór bezładne zmierzało właśnie do swego jedynego celu, który był przed nim zakryty. Ileż tysięcy razy stawał mu w myśli ów moment przewidziany, gdy się nareszcie uwikła, gdy się potknie i pośliźgnie.

Ciemno-czerwona aksamitna kotara a z po za niej głos przytłumiony... Było to znajome od dziecka i wciąż przy nim obecne, jak natrętne nic, jedno z niezliczonych głupstw bez znaczenia i sensu, które jak pył wałęsają się po głowie. A jednak teraz, za tą samą zasłoną, tai się jego los. Człowiek, którego głos słyszy, trzyma w ręku jego życie i śmierć. Nietylko — on włada jego duszą, on może skazać ją na upodlenie, wydobyć z niej bohaterstwo. W jego ręku pałka gumowa, w jego ręku powróz szubienicy, może go zakładać mu na szyję, zaciskać stryk, rozluźniać, zdejmować. Będzie odmykać rygle jego więziennej celi i zostawiać szczelinę, przez którą całą mocą będzie go wabić i kusić życie. Zatrzaśnie drzwi i nakaże mu nurzać się w obrzydliwościach bezpłodnego myślenia, wahania, strachu... Co zechce, to z nim zrobi.

Ejże... Z popłochu myśli, z pomroki wyrzeczenia się już wszystkiego na tej ziemi, objawił się niespodziewanie pierwszy promyczek woli. Upór? Ambicja? Punkt honoru? Walka do upadłego bez celu i sensu?

— Nie. Jedna jedyna, samotna, sobie samej starczająca bezcelowa ciekawość. Namiętność gry teraz już o nic, o zachciankę, o przywidzenie. Jakby ktoś obcy z niezbyt zatajonym swoim uśmiechem pchał go na wymyślny eksperyment. Obcy obiecywał mu nieprzebraną rozmaitość w tej śmiertelnej zabawie.

— Nie śpiesz się, tym razem śmierć cię nie minie, popatrz jej oko w oko, poigraj z straszliwością, nic nie myśl, jeno patrz, co z tego wyniknie. Nie będziesz miał zachodu, samo się przed tobą rozwinie najciekawsze w świecie widowisko. Nora więzienna? Pałka gumowa? To głupstwa nikczemne, gdy się nie zna strachu. Daleko za tobą zostało wszystko, co jest z tego świata, bo wiesz, że zginiesz; zaznaj-że tego, co nadludzkie.

Zainteresował go obcy, słuchał dalej. Były to argumenty i racje niewyrażalne i niepojęte dla czuwającego rozumu. Wypowiedziane w słowach, byłyby prostym absurdem, ale obcy szeptał splotami obrazów, znajomych ze snów, otumaniał go kabalistyką jakiegoś nieistniejącego języka, wciągał go w tok obłąkanego rozumowania, uwodził i do czegoś go prowadził.

Dyrektor van Trothen wstał i podszedł do okna. W pokoju było pełno dymu, od dwuch godzin obaj ćmili cygara. Pod tym pozorem otworzył okno i nieznacznie wyrzucił nikłą i kruchą szlaną rureczkę. Odetchnął czystem zimnem powietrzem, spojrzał na rojną, gwarną ulicę i odrazu oprzytomniał. Myślał bystro, szybko, jak osaczony zwierz.

Gdyby w tej chwili całkiem poprostu ubrał się i wyszedł, byłby ocalony. Jeżeli tylko dadzą mu wyjść na ulicę, za kwadrans nie pomogą już żadne alarmy i pościgi, ani chytre sztuki potężnego generała, ani sfora jego szpiclów i żandarmów, ani telefony, ani telegramy gończe na wszystkie stacje graniczne. Van Trothen nie wstąpi do swego luksusowego mieszkania na Kurfürstendamm, nie ucałuje nawet na pożegnanie panny Kitty Steidorff na Hochstrasse. Opuści świetnie prosperujące zakłady „Mundus-Filmu" wraz z niedokończonem arcydziełem „Bogowie Germanji", nie zajrzy do Süd-Banku, gdzie ma złożony poważny depozyt, i utonie bez śladu w odmęcie Berlina, a w swoim czasie generał von Sittenfeld otrzyma z Holandji parę uprzejmych słów usprawiedliwienia za odejście bez pożegnania, przed rozegraniem tak interesującej partji szachów.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

W pochmurny dzień w końcu lutego siedzieli we troje w saloniku Rity. Od godziny żadne z nich nie wymówiło słowa. Profesor dumał w swoim fotelu i co czas pewien zapadał w drzemkę, zdradzając się lekkiem pochrapywaniem. Claude przeglądał album rysunków Dürera, zrzadka odwracając kartę. Rita siedziała osobno pod oknem z zarzuconym na kolanach atłasowym obrusem i szperała w koszyczku pełnym pasemek różnokolorowych jedwabi i od godziny nie mogła zabrać się do roboty. Rozpoczęty narożnik nie wypełniał się barwami, jedna jedyna wykończona róża, pamiętająca bitwę nad Marną, dotychczas nie mogła się doczekać pierwszego listka. Kontury wzoru zarysowane kalką zamazały się już dawno, śnieżno biały atłas zbrukał się i poszarzał...

Rita zapatrzyła się w okno. Środkiem pustej rzeki płynęła kra. Nieskończony korowód brył lodowych sunął zwolna głównym nurtem, nużąc i nudząc wzrok swą martwą jednostajnością i jakby wzmagał ciszę i pustkę, które zapanowały na rzece. Nie porykiwały holowniki, nie widać było ładownych barek, na wybrzeżu nie zgrzytały dźwigi, od trzech dni nie przejechał pod oknami ani jeden samochód ciężarowy. Nie dymiły kominy „Badische", na moście o żadnej godzinie dnia nie roiło się od tłumów robotników śpieszących z miasta do fabryki na swoją zmianę lub wracających z roboty. Na Renie, za Renem zamarło ruchliwe, hałaśliwe życie pracy, a choć to sprawiało ciszę, nie dawała ona wytchnienia, raziło coś utajonego w niezwykłem świętowaniu i mimo całego spokoju wokoło, w duszy budziła się trwoga. Od trzech dni wszystko w Ludwigshafen stało w strajku.

(D. c. n.).